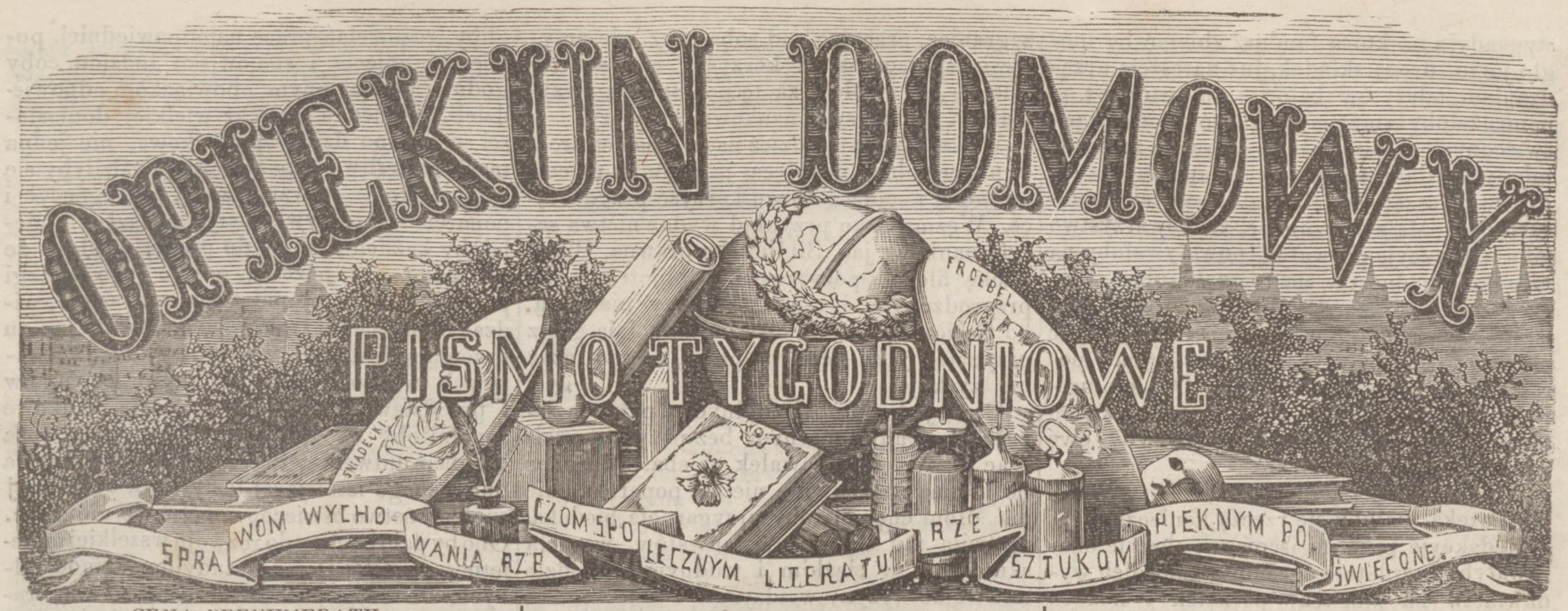
Nr. 34. Warszawa, dnia 8 (20) Sierpnia 1873 roku. ROK IX.—SERYJA 3-cia.



CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.:	
rocznie	rs. 3 kop. 60	rocznie	rs. 5
półrocznie	rs. 1 „ 80	półrocznie	„ 2 kop. 50
kwartalnie	„ 90		
miesięcznie	„ 30	w Austryi rocznie	9 guldenów
		w Prusach „	5 talarów

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 (NOWY).

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa

Skład Główny dla p.p. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* u **Czapińskiego** (daw. księg. Rychtera); we *Lwowie* u **Wilda Karola**; w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza; *w Krakowie* w księgarni **A. Nowoleckiego.**

Numer pojedyńczy kop. 10.

STOWARZYSZENIA NAUKOWE.

Artykuł umieszczony w 173 numerze Kuryjera Codziennego poruszył kwestyją, która od dawna już nas zajmowała, i którą wszelkiemi siłami staraliśmy się urzeczywistnić. Ale w naszym społeczeństwie każden projekt choćby najlepszy, musi się pewien czas odleżeć, bo rozprawiamy wiele, a do czynu trudno przystąpić.

Jakkolwiek ułatwianie nabycia wiedzy, jakkolwiek popieranie wszelkiemi siłami umysłowego ruchu i przychodzenie z pomocą uczącej się młodzieży, jest obowiązkiem społeczeństwa dbającego o przyszłość swoję, jednak ci wszyscy którzy chcą kształcić się i pracować nie mogą żądać aby ogół podawał im jałmużnę.

Jałmużna taka choćby z najzacniejszej pochodziła dłoni jest zawsze datkiem, upokarzającym każdą hardą duszę każde szlachetne serce. Nie możemy zarzucić społeczności naszej, aby nie popierała młodzieży kształcącej się, owszem wiele ona czyni dla tak zwanych niezamożnych.

Ale czyż ludzie co już ukończyli studyja uniwersyteckie nie mogą sobie sami zaradzić, czyż tak są biedni, tak bezsilni, tak pozbawieni wszelkich środków, że tylko wyskiwać potrafią lub bić pokłony i giąć karki żądając protekcyi kapitalistów?

Czyż w gronie twoim inteligiencyjo nie znajdzie się grosz wdowi coby poparł materyjalnie usiłowania jednostek zdolnych, pracowitych, a nie mających środków pomocniczych do pracy, czyż wychowańcy jednej instytucyi, wyznawcy jednej idei, dzieci jednej epoki tak są niezaradne, że wspierać się wzajemnie nie potrafią! Przeciwnie, fakty świadczą inaczej. Myśl stowarzyszeń szczęśliwie rozwijać się poczyna, zjednoczenie drobnych kapitałów, zespalanie sił tak umysłowych jak materyjalnych powołało do życia instytucyje, pisma i wydawnictwa jakie w ostatnich czasach ukazały się i coraz więcej się mnożą. Jeżeli zakładamy banki, kasy, towarzystwa, organizujemy gimnazyja prywatne, szkoły techniczne i tak dalej, dla czegóżby nie można utworzyć stowarzyszeń wzajemnej pomocy naukowej? Czy to tak trudno, czy to jest niepodobieństwem?. Wszakże istnieje towarzystwo lekarskie, muzyczne, budowlane, dla czegóżby nie mogło istnieć towarzystwo przyrodników, matematyków, prawników, pedagogów i tak dalej, dla czegóżby te wszystkie towarzystwa nie mogły się połączyć w jednę korporacyją i pod ogólnym mianem „Stowarzyszenia naukowego" działać pożytecznie na niwie krajowej oświaty i dobrobytu?

Gdyby w Warszawie było tylko 1000 ludzi posiadających dyplomy uniwersyteckie, gdyby każden z nich dał 30 kopiejek miesięcznie jużby powstał kapitał 24,000 złp. rocznie, na wynajęcie i urządzenie odpowiedniego lokalu, gdzieby koleją, pojedyńcze sekcyje odbywać mogły naukowe posiedzenia.

Ponieważ wyniki takich obrad, byłyby podawane do wiadomości ogółu i ogłaszane w pismach specyjalnych, jak tego mamy przykład w sprawozdaniach towarzystwa lekarskiego, musiałyby obrady same być prowadzone w języku dla ogółu czytającego dostępnym. Towarzystwa naukowe w Cesarstwie istniejące jak np. towarzystwo etnograficzne, archeologiczne i tak dalej, działają bardzo pożytecznie, sądzimy więc, że władza nie odmówiłaby przyzwolenia, czyniąc zadosyć potrzebom miejscowym.... Jak np. banki handlowe mają swoje filije na prowincyi, tak samo stowarzyszenie naukowe miećby mogło mniejsze kółka inteligientne zawiązane w większych miastach prowincyjonalnych.

Posiadamy stypendyja rządowe i z prywatnych zapisów powstałe, wielu z nich korzysta i odnosi pożytek niezaprzeczony. Istnieją również nagrody za najlepsze rozprawy konkursowe, tak pieniężne jak w medalach złotych i srebrnych. „Stowarzyszenie naukowe" ogłaszając konkursy, wyznaczając

ŚLADY ŻYCIA.

XXXIV.

Tyle życia, ile.. w czynie.

Korespondencyja z Lublina umieszczona w N-rze 30 „Opiekuna" wywołała odpowiedź zakomunikowaną nam przez pana L. W. jednego z członków Rady Gospodarczej Lubelskiego Towarzystwa Dobroczynności.

Pan W. oświadcza „że niesprawiedliwe i nieuczciwe szarpanie Rady Gospodarczej podkopując zaufanie ogółu do niej, musi osłabić i rezultaty jej działalności, a tym samym zmniejszyć środki materyjalne które przy zbyt szczupłych stałych funduszach, taż rada z trudem i wysiłkiem zdobywać musi." Dalej utrzymuje „że kto należycie pojmuje obowiązki obywatelskie i słowa Ewangielii o miłości bliźniego, ten nawet rzeczywisty błąd T. D. milczeniem pokryć, a w razie potrzeby i obronić powinien."

Na to niekoniecznie zgodzić się można. Szanowny korespondent stwierdza fakty podane przez nas, a mianowicie, że rada gospodarcza powierzywszy wpierw wybór ochmistrzyni opiekunkom ochronki, wybór ten następnie zniosła, a podaje jako przyczynę ten fakt, że pani Ł. przez opiekunki wybrana, miała dziecko któreby jej w wykonywaniu obowiązków *przeszkadzało*, zaś pani M... jest bezdzietną i posiada matkę mogącą być pomocą w zarządzie. Z tej przeto przyczyny Rada Gospodarcza, przy równych zresztą kwalifikacyjach obu kandydatek, pani M. dała pierwszeństwo, wbrew woli i wyborowi Opiekunów i Opiekunek ochronki. Pan L. W. potwierdza również, że 8 osób z liczby opiekunów i opiekunek, zrzekło się przyjętych dobrowolnie obowiązków, ale zaznacza również, że na to miejsce przybyło osób szesnaście, nie mniej od pierwszych o utrzymanie ochrony w stanie kwitnącym skwapliwych, Nieznajdujemy jednak dowodów, dla czego owe ośm osób oraz pan Detmerski usunęły się od opieki, a śmiemy sądzić, że to miało swoję przyczynę, w postąpieniu Rady gospodarczej. Cieszy nas niewymownie, że to zajście nie wpłynęło niekorzystnie na losy ochronki, w imie bezstronności umieszczamy wyjaśnienie pana L. W., nie podzielając bynajmniej zdania jego jakobyśmy się zbytecznie pośpieszyli z ogłoszeniem faktu, który ostatecznie sam potwierdza.

Wyrażeń ubliżających nigdzie w poprzedniej korespondencyi nie znajdujemy, nie możemy znać wszelkich towarzyszących przytoczonemu zajściu okoliczności, jak również, nie zna ich pan L. W., jako według słów własnych, nieobecny na posiedzeniu. Postąpienie przeto Rady Gospodarczej pozostaje jak przedtym niewyjaśnionym i nieusprawiedliwionym.

* * *

Nasz *Ekonomista*, o którego pożyteczności nieraz już wzmiankowano w tym miejscu,

stypendyja na które fundusz zbierać by mogło jużto drogą składek, już nareszcie urządzaniem odczytów balów, koncertów i t. p. pomnażałoby tym sposobem ilość kapitałów poświęconych sprawie nauki, i dawało możność młodym zdolnościom, wyrabiania się na ludzi przynoszących chlubę i pożytek społeczeństwu. Ma się rozumieć, że Towarzystwo jako instytucyja prywatna, powoływałoby na członków jednostki na to zasługujące, których działanie korzyść by przynosiło, i jako istytucyja prywatna miałoby prawo wymagać pewnych kwalifikacyj intellektualnych i moralnych, od stowarzyszonych. Dyplom uniwersytecki, oraz zgodne z duchem działań towarzystwa przekonania, stanowiłyby owę kwalifikacyją.

Nie potrzebujemy dodawać, że czytelnia i biblijoteka, stałyby się rzeczą konieczną. Redakcyje pism miejscowych chętnie ofiarowałyby bezpłatnie egzemplarze swoich wydawnictw na pierwszy początek i każden autor uczyniłby toż samo. Niewielkie składki przez stowarzyszonych wnoszone wkrótkim czasie zapełniłyby półki biblijoteczne zbiorem wyborowych dzieł obcych i swojskich. Stowarzyszenia zaś prowincyjonalne postępowałyby tak jak dotąd się w niektórych miejscach praktykuje t. j. miałyby czytelnie i biblijoteczki składkowe. Propagowanie oświaty i wzajemna pomoc naukowa byłyby celem stowarzyszonych.

Trzymając się ściśle tylko tej drogi, śledziliby oni bacznie za ruchem umysłowym, i popierali go według możności. W gronie stowarzyszonych bezwątpienia znalazłoby się wielu ludzi posiadających wiedzę, stanowisko, stosunki i środki materyjalne. Mogliby oni przeto z łatwością popierać młode zdolności, dawać im odpowiednie wskazówki, ułatwiać wstęp do biblijotek prywatnych, a nawet niosąc drobne ofiary wyznaczać nagrody pieniężne za dokonane pracę.

Nie może bowiem ubogi młody człowiek nic przedsiewziąć bez nadziei takowego wynagrodzenia. i bez takich ułatwień. Nie mielibyśmy np. Encyklopedyi rolniczej gdyby pp. Lubomirski i Stawiski nie byli nakładcami tego wydawnictwa, bo pieniądz bądź co bądź to nervus rerum. A przecież koszta wyłożone prędzej czy później się powrócą, bo dzisiaj książkę pożyteczną kupi każden. Zdolny specyjalista wysłany kosztem stowarzyszenia zagranicę, pracując nad sobą czyż nie przyniesie społeczeństwu korzyści, czy stokrotnie się nie wypłaci za tę pomoc jaką otrzymał na drodze swej naukowej karyjery?

Wykształcona młodzież nasza, mająca środki materyjalne, poświęca je chętnie na cele jej samej i społeczeństwu korzyść przynoszące. Weźmy jako przykład wydawnictwa seryjo naukowe jak Biblijotekę prawną, Biblijotekę filozofii pozytywnej, Biblijotekę nauk przyrodzonych i t. p. Wydawcy nie tracą, bo tracić nie powinni, owszem zarabiają grosz przynależny za uczciwą pracę, a ogół czyż nie zyskuje?

Część jednak ludzi zdolnych i pełnych zapału do nauki marnieje bez pożytku, walcząc o powszedni kawałek chleba. Marnieje bo nie ma stosunków, nie ma poparcia, nie ma dłoni chętnej coby przygarnęła biedaka, ułatwiła mu wykonanie zamysłów, wsparła skutecznie w ciężkim i trudnym pochodzie na strome wyżyny wiedzy.

Darmo szukalibyśmy przykładów w życiorysach najznakomitszych ludzi, aby ci ludzie bez pomocy drugich wynieśli się nad poziom i zajaśnieli blaskiem swego talentu. Zawsze ich poparła jakaś uczciwa dusza, wyrwała z więzów niedostatku i dopiero wtenczas pokazali oni czym są i czego warci.

Czy istnieją u nas konkursy dla prawników, naturalistów, techników, filologów? Niemamy ich—przeto szczęśliwsze tylko jednostki odznaczyć się mogą i to przy okolicznościach przyjaznych przypadkowo się trafiających.

Medycyna stosunkowo lepsze posiada warunki, istnieją bowiem przy klinikach i pracowniach uniwersyteckich posady płatnych asystentów, a towarzystwo lekarskie ogłasza konkursowe rozprawy. Jednak aby otrzymać płatną posadę, trzeba dwa lata służyć bez wynagrodzenia, na co nie każden lekarz początkujący zgodzić się może, bo skądże weźmie funduszów na przeczekanie tego terminu. Chcąc napisać rozprawę na konkurs skąd weźmie materyjał do obserwacyi lub doświadczeń, skąd książek i pieniędzy na wydatki konieczne jakie każde studyjum naukowe pociąga.

Stowarzyszenie naukowe wiedząc dobrze o tych wszystkich niedostatkach, mogłoby skutecznie zaradzić złemu.

Stowarzyszeni znając się wzajemnie, i wiedząc co kto wart i do czego zdolny, mogliby rozdzielać pracę najodpowiedniej, powierzać zajęcia i stanowisko ludziom coby godnie powierzonym obowiązkom odpowiedzieli. Niejeden projekt wielkiej doniosłości nie jedno dzieło pomnikowe, nie jedna myśl szczęśliwa i pożyteczna zrodziłyby się w tym kole stowarzyszonej inteligencyi i poparcie i urzeczywistnienie znalazły. Śmielej by każden brał się do pracy, wiedząc, że wcześniej czy później, ocenić jego zabiegi potrafią, śmielej by patrzył w przyszłość, widząc obok siebie tysiące ludzi równie jak on pracujących dla tej przyszłości, ludzi kochających wiedzę, ceniących jej pracowników i przedstawicieli. Stowarzyszenie naukowe zapełniłoby ów fatalny brak instytucyi poza obrębem uniwersytetu i zakładów wychowania publicznego istniejącej instytucyi, bez której społeczeństwo oświecone obejść się nie może. Ono by dało pochop do rozwoju wszelkiej umiejętności zachęciło do studyjów samodzielnych, do zajęć poważnych coby chlubę krajowi, a światło społeczności przyniosły. Stowarzyszenie naukowe byłoby korporacyją znakomicie oddziaływającą na ogół, a nawet wyrazem tej „opinii poważnej” do której obecnie roszczą sobie prawo jednostki na ten zaszczyt nie zasługujące, i które nigdy do niego dorosnąć nie są w stanie.

Wszelkie nasze słowa przemawiające na korzyść podobnego stowarzyszenia są zbyteczne, bo rzecz sama najlepiej się proteguje.

Ponawiamy myśl podnoszoną już niejednokrotnie, oczekując dalszych rozpraw w tym względzie. Oby się ona w czyn zamieniła!

W NIEPOGODĘ.

(TREŚĆ PARU STROFEK WZIĘTA Z MUSSETA).

Poznałem ją... Ach! to rzecz zwykła: szła sama, spuściwszy ku ziemi oczy; widziałem tylko u jej warkoczy kwiat biały.. Szukałem jej—lecz mi znikła.

* *

Pytałem ludzi—i mówili, że cały dzień boży pracuje. Biedna dziewczyna!.. i że nikogo niekocha, że się z miłością zbyt droży.. co za przyczyna?

* *

Lecz raz spotkałem ją samą—szliśmy osobno, potym razem: tak jakoś los nas przy-

---

w zeszycie majowym zawiera kilka rzeczy godnych uwagi, ze względu na charakter sprawozdawczy, jaki je cechuje. Wyznajemy nawet szczerze, iż w porównaniu z drugą połową zeszytu, pierwsza mniej nas zadawalnia, ponieważ praca *o gminie* p. Rembowskiego nie kwalifikuje się, zdaniem naszym do czasopisma, z powodu dosyć szerokich rozmiarów. Wykład Courcelle Seneuil'a *o zawładnięciu bogactwem*, odznacza się zaletami właściwemi pisarzom francuskim, temi mianowicie, o których już dawniej pisaliśmy, zdając sprawę z *Ekonomiki przemysłowej*, wyszłej w oddzielnej odbitce (tom I). Za zbyteczne uważamy poświęcenie siedmiu stronic ścisłego druku sprawom osad rolnych, których to spraw zwięzłe streszczenie byłoby aż nadto wystarczające dla czytelników *Ekonomisty*. Prędzej wybaczyć można przedrukowywanie statystyki gubernij Królestwa, ponieważ autorowie piszący o rzeczach ekonomicznych, będą mieli ułatwione poszukiwanie materyjałów. Natomiast prawdziwą żywotnością uderzają artykuły pióra redaktora głównego o działalności Banku Polskiego i działalności Banku Handlowego. Za pierwszy tym większe uznanie należy się *Ekonomiście*, ile, że sprawozdania Banku wydawane są w języku nie dla całej powszechności zrozumiałym. *Ekonomista* w zestawieniu bardzo jasnym przedstawił nam rezultaty wszystkich operacyj, zaznaczając z radością, którą wraz z nim i my podzielamy, że „maszyna bankowa w roku 1872 ze rdzy oczyszczona i odświeżona, zaczęła znowu dokładniej funkcyjonować”. Słuszną w końcu artykułu spotykamy uwagę, że sposób załatwiania czynności w „otwartych kredytach” i „wydziale prawnym” jest niedogodny a nawet nieznośny. Powszechne w tym względzie skargi publiczności ciągle słyszeć się dają. Chociażby sprawa interesanta—są słowa *Ekonomisty*—była czysta jak dyjament, jasna jak słońce, poddaną być musi torturze pedanckiej formalistyki prawniczej, uświęconej zastarzałą rutyną”. Gdy słowa te są tylko słabym odgłosem zażaleń ogólnych, nie możemy wątpić, że Bank postara się, o zaradzenie złemu.—Co do Banku Handlowego mniej może słusznie zarzuca mu *Ekonomista* wzrost filij petersburgskiej, ponieważ Bank jako taki korzystnych dla siebie interesów lekceważyć nie powinien; przyznajemy wszakże, iż wcale by nie zawadziło, aby *Bank Handlowy* na przyszłość więcej aniżeli dotąd dyskontował weksli. Rubryka bowiem esconty w porównaniu z rokiem poprzednim podwyższyła się tylko o 1 milijon rubli,—a to trochę zamało.—W kronice zagranicznej znajdujemy nareszcie dokończenie sprawozdania o zjeździe odbytym w Eisenach, przez tak zwanych socyjalistów katedry. Zjazd ten odbył się w początku Października roku zeszłego, a gdy koniec sprawozdania o nim otrzymaliśmy w Sierpniu r. b., musimy przeto przyznać, że *Ekonomista* pospiesznością nie grzeszy. Pomimo to wszystko wywody D-ra Engla o drożyznie mieszkań i środkach zaradczych, czytają się i dzisiaj z zajęciem prawdziwym, tymbardziej, że i u nas kwestyja dogodnych mieszkań jest na dobie, a chociaż dalecy jesteśmy od rozpaczy mieszkańców Berlina, niemniej jednak pozostajemy na łasce właścicieli domów. Kwestyi tej dotkniemy się jeszcze z powodu wkrótce już ukonstytuować się mającego towarzystwa budowlanego.

* *
*

Pozwolimy sobie podnieść w Opiekunie Domowym kwestyją z dziedziny krajowej produkcyi. Istnieje u nas jedyna fabryka cementu okrzyczanego ze swej dobroci i wyższości nad zagranicznym; zapytujemy tedy: dlaczego do budującego się mostu pod cytadelą dla drogi żelaznej obwodowej, cement krajowy niebędzie użyty.—Odpowiedź

bliżył jednym wyrazem. Czas był ponury; latarnie ledwie błyskały wśród mgły. Rzecz dziwna! w jej oczach spostrzegłem łzy.

* * *

Nie wiedziałem, że wracała z grobu matki, została sama jedna! — dwa białe kwiatki, które tuliła do siebie, były mogilne, że jej rumieńce zbladły. Biedna!

* * *

Ale to wszystko przeszło....

* * *

Z tysiąca różnych piosenek, które mi śpiewać kazała — nie lubiła żadnej; a mając kilka sukienek, które co chwila zmieniała — płakała — że nie ma ładnej!

* * *

Czarne jej oczy lubiły zmienność — lecz wierzę, że swym gorącym serduszkiem, kochała mnie stale i szczerze. Jam ją całował... za uszkiem — a ona miękkie swe dłonie wieszała na moję szyję, słuchając, czy w moim łonie serce wciąż bije.

* * *

Raz — szliśmy razem wieczorem w dzień świąteczny. Na ulicach było tłumnie; oparta na moim ramieniu szła śmiało, główkę pochylając ku mnie, gdyśmy szli w cieniu.

* * *

Czas był szkaradny, wiatr, słota; deszcz ciągle padał od godziny — mówiła mi o swej miłości, — wśród błota mocząc swe drobne nóżyny.

* * *

Czy też myślały wtedy twoje nóżki, z zabłoconemi bucikami, że kiedyś tam, kiedyś (niestety, w tak krótkim czasie!), będą stąpały pod gronostajami, w safijanie, w złocie i w atłasie?

* * *

Spotkałem ją jeszcze raz: jechała w pięknej karecie; ujrzawszy mnie, wychyliła się, podała swą białą dłoń, mówiąc, że nikogo więcej na świecie, nie kochała.. że wkrótce straci swą urodę i że pamięta zawsze, jakeśmy razem błądzili w niepogodę..

* * *

Przebacz!.

Dziwny ból przejmuje serce me zgryzotą... i gdy tę chwilę wspominam rozważnie, czuję.... jak mi na czoło spada błoto, po którym szłaś tak odważnie... *J. M.*

HRABINA ELODYJA.

Powieść

Maryi Szeligi.

(Ciąg dalszy).

— Czyż to podobne dla ciebie pani? Zastanów się: choćbyś pragnęła zacząć nowe życie, czy wydołasz? Braterskiej pomocy nie odmawiam nikomu, tymbardziej tobie nieszczęśliwa istoto! ale czyż to możebne?

— O mnie się nie lękaj! wszędzie pójdę bez wahania, byle za tobą! — zawołała żywo.

— A mąż i dziecię? a rodzina, świat cały? wreszcie pomyśl pani o przyszłości: samotna w ubóstwie, konałabyś z wolna! Niestety, nie dla ciebie ta droga! — mówił Emanuel z litością.

Ona patrzyła się na niego, śledząc iskry innego ukrytego uczucia; załamała ręce z rozpaczą i głowę pochyliła na piersi.

— Nie! nie! Ty mnie nie kochasz! ty mówisz prawdę! Dla ciebie niema piękności, niema powabu!... Przebacz mi! przebacz!... Lękam się własnych słów, które myśl wyprzedzają!... mówię nieprzytomna!... Szczęśliwa! szczęśliwa!... a imie jej, tej najszczęśliwszej na świecie?...

— Beata!

— Oh! niezapomnę go! ty go wymawiasz ze czcią, miłością!.. Wymów choć raz moje imie! o ukochany! nie odmawiaj mi tej łaski!

— Biedna Djolo!.. szepnął wzruszony.

— Dziękuję ci!... — potym rozpłakała się cicho i skarżyła się półgłosem:

— Ja tu biegłam z taką nadzieją!.. Serce mi biło roskoszą i trwogą, uciekałam z tego przeklętego domu, aby doń nigdy nie wrócić, a teraz!... O! czemuż nie mam dosyć odwagi aby się zabić!...

— Posłuchaj mię pani!.. Bóg widzi, że ci chcę umniejszyć bólu! — rzekł Emanuel ze łzą w oku. — Jesteś bogatą; staraj się o rozwód, któryby cię uwolnił od wstrętnego związku. Może znośniej ci będzie żyć samej. Ale wpierw nim zrobisz krok pierwszy, błagam cię, usiłuj zwrócić się z téj drogi. Zbadaj twe serce w obec Boga i sumienia, czy zupełnie stracone dla ofiary i poświęcenia, rezygnacyi cichej. Jeśli za rok tak samo będziesz myślała, skłaniaj męża do zezwolenia na rozwód, lub separacyją. A jeżeli kiedy zechcesz słów serdecznych, znajdziesz je zawsze u mnie, jak u brata. Ale jeszcze raz powiem, zastanów się pani! cofnij się, póki nikt nie wie twoich szalonych zamysłów. Niech pamięć tej nieszczęsnej miłości zamieni się znów w marzenie. Uważaj mię pani za umarłego! Pamiętaj tylko o mojej radzie, walcz! Uwierz temu, a zwyciężysz!...

Emanuel mówił to z zapałem, ale i wysileniem całej potęgi woli. Niema na świecie człowieka, któryby na taką miłość i rozpacz obojętnym patrzył okiem. Śliczna, płacząca, blada istotka, wdzięk uosobiony, błagała o jedno spojrzenie jego oczu, szalała z bólu i uczucia. Tylko taka miłość, jaka go łączyła z Beatą, mogła mu być obroną przeciw urokowi tej całkiem innej, namiętnej, wschodniej, na wpół dzikiej miłości. Wrodzona egzaltacyja i wrażliwość hrabiny Elodyi, podnieciły jej uczucie aż do krańcowości i zapomnienia o wszystkich względach, które dotąd były jej prawem. Emanuel czuł, że najmniejsza słabość z jego strony, wtrąciłaby oboje w przepaść niezgłębioną, hańbiącą. Beata, jak anioł stróż, towarzysząc wciąż jego myśli, stawała między nim i wyciągniętemi dłoniami biednej Djoli. Młody książe coraz więcej odzyskiwał krew zimną i nakoniec zebrał całą moc, aby przystąpić do Elodyi płaczącej i powiedzieć poważnie choć tkliwie:

— Tak! siostro moja! Niech Bóg będzie z tobą. Musimy się rozstać! Wracaj pani i bądź silną, mężną! Wiesz dobrze, czego wymagam od ciebie! Żegnam cię na zawsze.

— Emanuelu!... — zerwała się gwałtownie — wydarłeś mi serce z piersi!... Nie mam już serca, tylko próżnię ciemną!.. Grób pusty zamiast serca!... O! daj umarłej na czoło pocałunek pierwszy i ostatni! — zawołała jak w obłąkaniu, bezdźwięcznym głosem, pochylając ku niemu czoło, którego, jakby rzeczywiście należało do umarłej, dotknął lekko ustami. Chwyciła ręką, jakby uczuła napiętnowanie gorącym żelazem i wybiegła

---

niestety na poczekaniu znajdziemy a mianowicie, że gdy ościenni i dalsi nasi sąsiedzi usilnie starają się ciągle swoje wyroby udoskonalać my niejako wstecz się cofamy.

Cement krajowy użytym był do budowy mostu na Bugu, na linii Drogi Żelaznéj Warszawsko-Terespolskiej; widzieliśmy protokóła prób odbywanych na ówczas z tym cementem i przekonaliśmy się, że obecnie cement ów prób tych niewytrzymuje tak, iż Zarząd budowy mostu jakkolwiek najlepiej usposobiony dla krajowych wyrobów, musiał go odrzucić a w miejsce jego cement angielski „Robins'a" do robót użyć. Nie jest tajemnicą skład chemiczny cementu tak Robins' a, jak i innych przednich jego gatunków i wszystkie części składowe jego posiadamy, czemu więc przypisać tę opieszałość, z przyczyny której tysiące rubli ekspedyjujemy za granicę, odejmując przytym setkom ludzi zarobek na chleb powszedni.

Nie idzie nam tu o właściela tej *renomowanej* fabryki, o której w swoim czasie nawet broszury czytaliśmy — bo jak sobie kto pościele tak się wyśpi, jednakże z uwagi na interes ogólny te kilka słów przytoczyć uważaliśmy za stosowne, a to w celu obudzenia spoczywających na zebranych w złotych czasach kapitałach.

Tam gdzie opieszałość czyni krzywdę ogólnym interesom i ujmę przemysłowi krajowemu, zawsze złe wytknąć należy.

* * *

Lubelskie rusza się na dobre we wszystkich swoich miejscowościach. Czytelnicy znają już kilka faktów, któreśmy notowali z wielką przyjemnością; obecnie dodajemy jeszcze jeden. Jak nam piszą, w mieście *Kraśniku* ma być założona czytelnia. W niej znajdować się mają wszystkie czasopisma polskie, niektóre francuskie (Illustration i Revue de deux mondes) i rosyjski *Golos*; a nadto zakupione być mają książki znakomitszych autorów i dokupowywane ważniejsze nowości. Nadmienić nam wypada, że czytelnia ma zarazem szlachetne cele pedagogiczne. Chcąc cel ten do skutku przyprowadzić, zawiązuje się stowarzyszenie z pięćdziesięciu lub więcej członków, którzy zobowiązują się płacić miesięcznie po pół rubla; na początek zaś każdy z członków ma wnieść składkę za cały kwartał z góry, ażeby urządzić stosowne mieszkanie. O ile wiemy, projekt ten podany został głównie przez p. Przegalińskiego podsędka w Kraśniku i zaraz znalazł całkowite uznanie mieszkańców miasta i okolicznych obywateli. Życzymy wytrwałości na drodze raz obranej, życzymy tym bardziej, że wiemy z doświadczenia, jak wiele trudności w początkach tego rodzaju przedsięwzięć napotykać się zwykło. Trudności te pospolicie zniechęcają ludzi i zostawiają projekt projektem. Nie wątpimy, że w Kraśniku inaczej się stanie; trudności się usuną i projekt przejdzie w rzeczywistość, która może wydać nader błogie owoce.

* * *

Z Kujaw w końcu Lipca 1873 r.

Niktby może nie przypuścił, iż koń oddający niezaprzeczenie ogromne usługi człowiekowi, w naszych wiejskich stosunkach staje się *osobą* i jest celem długich czasem sporów i debatów strasznych. Nieraz już myślałem skąd wzięła się u nas ta choroba zwana *szkapomaniją*, która podobnie jak karty lub inne niepotrzebne wydatki krocie pochłania. Szukałem kłębka, chciałem zagadkę rozwiązać i na podobę feljetonisty „Gazety Polskiej" który nie rozumiał i nie umiał sobie wytłumaczyć wyścigów, i ja tego końskiego manijactwa zrozumieć nie mogę. Jeżeliby to mogło być wytłumaczeniem, sformułowałbym je w ten sposób: iż koń, zabytek dawnej rycerskości i szlachetczyzny, tradycyją samą, przechował się między wiejskie-

z pokoju, lecz w tejże chwili wróciła drżąc cała i rzekła urywanemi słowy:

— Nie trafię do domu! Odprowadź mię jak trumnę do grobów! Jam już trupem! Nie mam serca!... Pierś pusta! tylko jeszcze krew ranę zalewa!

— Mieniła się w oczach; Emanuel patrzył na nią ze strasznym zdziwieniem. Machinalnie podał jej rękę i milcząc poszli oboje ku pałacowi. Blada zorza poranna różowiła już niebo, wicher ustał nieco. Panna Bertel wybiegła na ich spotkanie.

— Jedziemy? — spytała.

— Nie! odparła głucho Elodyja, — wysunęła swoję rękę z pod ramienia Emanuela, postąpiła kilka kroków, obróciła się, skinęła ręką na pożegnanie, i opierając się na pannie Bertel, weszła do pałacu; Emanuel wrócił do siebie, chwiejąc się jak nieprzytomny. Wziął fotografię Beaty i patrząc na nią, spytał:

— Czy tak powinienem postąpić?..

Ale potym niepowstrzymane łzy, czyste jak dyjamenty, popłynęły po bladej twarzy, i Emanuel, walcząc przed chwilą tak dzielnie ze wzruszeniem, teraz rzucił się na łóżko, łkając jak dziecię. Nie! jak mężczyzna, któremu w niektórych przejściach życia, takie łzy zaszczyt przynoszą!

XIX.

Trzeci tydzień mijał, a Beata nie wracała do swego mieszkania przy ulicy Czystej. Zabawiana, zajmowana, męczona po całych dniach i wieczorach, nie miała jednej chwili wytchnienia. Nietylko Gucio, ale cała chmara adoratorów składała jej tysiączne hołdy, które niezmiernie bawiły panią Furfałkiewiczowę, a nudziły i trapiły coraz bardziej niespokojną Beatę.

Jak już nadmienilismy, w salonie pani Flory towarzystwo było często mięszane, teraz na cześć ładnej panny, oddanej pod opiekę tak sławnej z nietaktownego postępowania małżonki pana Hijacynta, przeważnie męskie zebrania gromadziły się prawie każdego wieczoru, tworząc orszak dość liczny, dość swobodny i rażący Beatę nad wszelki wyraz. Hrabia Władysław pisywał do niej lakoniczne listy, obiecując że przyjedzie, aby się ostatecznie porozumieć, a teraz, niech pozostanie jeszcze u Furfarkiewiczów, gdzie jej zapewne dobrze. Przytym dostarczał jej pieniędzy i stroi, aż do zbytku, na ręce pani Pulcheryi. Beata tęskniła, smuciła się, ale musiała ulegać. Łagodnością swoją zjednała sobie cały dom państwa Hijacyntów, Nawet Cypryś jej nie dokuczał i opowiadał panom z należytą pewnością siebie, że z panny Beaty, będzie *szyk* żoneczka! czym niesłychanie ucieszył rodziców, dbających o wczesne rozwinięcie sił moralnych jedynaka.

Beata nie tańczyła; była poważną i wyniosłą nieco, ale to jej dawało wdzięk arystokratyczny, za którym przepadano. Gucio postawił się odrazu w roli konkurenta, co ogromnie zdziwiło wszystkich wiedzących, że jest prawie narzeczonym hrabianki Eleonory. Szczęściem, Jerzego nie było, mógł więc poruszać się nieco swobodniej. Pewnego wieczoru, po jakiemś wybitniejszym słówku, Beata rzekła doń z powagą:

— Powiedz mi pan, co mu na tym zależy, aby mi wiecznie ubliżać?

— Ja? pani?!... Ależ....

— Panie Gustawie! Pomówmy szczerze: pan stara się o moję rękę?

— Tak pani!...

— I mimo odpowiedzi wyraźnej, jaką dałam przez mego ojca, pan korzysta z mego położenia, nakazanego przemocą prawie i ponawiając konkury, ubliżasz mi pan, i jako kobiecie i jako narzeczonej Emanuela.

— Dwie rzeczy są dla mnie w mowie pani nowością i zagadką: odpowiedź dana ojcu i niechętna zmiana położenia! — rzekł Gucio zdziwiony.

— Jakto? Miałżebyś pan nie wiedzieć?...

— Nie pani!

— Nie z wiedzą pana; ojciec mój prosił w jego imieniu o moję rękę?..

— Ah! czyż tak było?.. Pani!...

— Więc pan nic nie wiesz?... To dziwne! Hrabia Władysław na to odebrał odpowiedź, że prócz przyjacielskiej życzliwości i całkowitego zapomnienia urazy, nic więcej panu ofiarować nie mogę. Ręka i serce moje przyrzeczone temu, którego kocham całą duszą!... Ojciec mój kazał mi być posłuszną jego woli, i jako próbę mającą zachwiać moje postanowienie, naznaczył mi kika tygodni pobytu na wielkim świecie.

— Więc pani tutaj gości nie z własnej woli? — spytał smutny Gucio.

— Mógłżeś pan to przypuszczać, żebym dla nieznośnego gwaru próżności i zbytku, rzucała moję ustroń, ciche pokoiki umajone ulubioną zielonością — pracę zapełniającą każdą chwilkę i poczciwych moich przyjaciół?... O! tylko zmusić mię można do takiego kroku! — odparła Beata,

— Ah! ja nic nie wiedziałem o tym! I sądziłem, przebacz pani! że to ustępstwo z twej strony, rokujące mi błogą nadzieję!

— Ale teraz...

— Teraz,—podchwycił Gucio, tylko—jedna mi zostaje droga — w łeb sobie wypalić!..

— Pan tego nie zrobisz panie Gustawie! Pan tego nie zrobisz?... prawda?.. Nie! — mówiła Beata proszącym tonem, patrząc nań serdecznie. — Pan będzie naszym dobrym przyjacielem, a potym, będziesz szczęśliwym.

— Dodaj jeszcze pani: „i ożenisz się z hrabianką Eleonorą,” a dopełnisz miary szyderstwa!

— Nie! ona jest niemiłą i niedobrą! Ożenisz się pan z kimś ładnym, dobrym i kochającym! — mówiła Beata łagodnie. Wszakże tak?... panie Gustawie?

— Tak!.. — powtórzył z westchnieniem smutnym. — Któżby nie usłuchał woli pani? Muszę przystać na to, choć czuję, że się to inaczej skończy!

Beata podała mu rękę, on ją do ust przycisnął, mówiąc:

— Przecież skazanym dozwalają jakiejś łaski!.. — I nie mogąc zwalczyć wzruszenia, pożegnał ją i wybiegł na ulicę.

Było to rano tegoż dnia, w którym Emanuel wsiadał do wagonu, odchodzącego do Warszawy. Czas był okropny, odwilż i ciężkie, nie zimowe powietrze, nastąpiły po zawiei wczorajszej. Ołowiane chmury zaciągnęły horyzont, grożąc burzą, jakby wśród lata. Odarte z zieloności drzewa posępnie odbijały na tym tle ciemnym i złowrogim. Natura dziwnie harmonizowała z usposobieniem Emanuela; wsunął się w kącik wagonu i gonił oczyma i myślą równie żałobne obrazy. Niekiedy bieg lokomotywy zdawał mu się zbyt wolny, zrywał się i opamiętawszy, znów siadał na miejscu, dziwiąc towarzyszów, a raczej towarzyszki podróży, po większej części młode, przystojne i wesołe, które dźwięcznym śmiechem, żarty dowcipnemi, starały rozruszać i ożywić ten „posąg komandora,” jak go żartobliwie, szczebiocząc wciąż po francusku, nazywały. Ale mogły swobodnie mówić, bo

---

mi obywatelami w ogromnym poszanowaniu. Muszę z góry zastrzedz, chociaż nie jeden z warszawiaków obrazi się za to na mnie, iż nie macie wyobrażenia—co czasu, pieniędzy jeżeli już nie zdrowia zabierają nam konie. Co winno być środkiem, staje się celem. Zamiast traktować konia jako zwierzę użyteczne, dalej przyjemne, my podnosimy go do apoteozy i zajmujemy się nim więcej jak ludźmi, albo też tylko dla ogólnego szyku udajemy zajęcie i znajomość przedmiotu. Bo też to i ta matka natura nieporównana w swych figlach w samym zaraz kielichu podała truciznę. Z jednej strony dała nam pociąg *końskim* zwany, a z drugiej utopiła w tym jednokopytnem stworzeniu tyle wad i dużych i małych, tak go dziwnie uposażyła urodą z jednej, a chorobami najrozmaitszemi z drugiej strony, że najlepszemu graczowi złapać się bardzo łatwo. Wszystkie te uwagi nastręczył mi odbyty niedawno jarmark łowicki. Co się tam działo—co się tam zawsze dzieje, trudno opisywać. Wiem tylko, że jarmarki na Ś-ty Jan czy jak go lepiej nazywają Kręci-Jan i Ś-ty Mateusz, więcej straty niż pożytku nam przynoszą. Jeżeli będziecie cierpliwi, całą tę końską manipulacyją wyłuszczę wam w tej chwili. Nie obznajmionym z kwestyją o której mówię, nigdyby się wierzyć niechciało, że średnie fortunki szlacheckie pękają czasem w parę latek na piękne koniki. Powiadają wtedy o takim: *wyprzągł*. Jeżeli szlachcic nie bibuła, nie karciarz, jeżeli słowem bez wady innej, ma jednę: *koniarz*, to ta wada zabija go również jak zabija wino lub karty. Skąd nabyliśmy tej szczególnej manii? tego zapatrywania się innego nakoniec a jak na drugie stworzenia boskie? Nie wchodzę w to dzisiaj, nie sięgam początków, i tylko fakt konstatuję. Czy to należy jak u jednego do szyku? czy to ma oznaczać dobrego gospodarza? czy to co innego? mniejsza o to. Dość, że pociąg tkwi i tylko sposobnej czeka chwili, aby się rozwinąć. Chwila ta nadarza się zaraz na początku odebranej po rodzicach fortuny. „Konie piękne mieć muszę”, każdy powtórzy bez względu na to, czy jego majątek zniesie lub nie taki wydatek. W tym miejscu wysuwa się figura, nieodczepny szlachcica dodatek, żyd, handlarz koni: ex professo. Nasz kąt, więcej jak inne, ma prawo utyskiwać na te pijawki wiejskich kieszeni, gdyż mieszkając przy granicy Ks. Poznańskiego, mamy ciagle do czynienia z końskiemi handlarzami. Miasta: Piotrków, Radziejów, Osięciny, Sompolno, Izbica—są miejscami, gdzie przez handlarskie ręce przechodzi masa tu lub tam skradzionych koni. A wieleż to naszych koni wyprowadzono prostym sposobem "za płot" jak tu nazywają. Są wsie osiadłe przez bogatych kolonistów, których głównym zajęciem jest kradzież koni i wydawanie ich za granicę. Nasza łatwowierność, nasz pociąg do brodatych krezusów, jest tak wielki, że bez handlu z niemi wytrzymać nie możemy. A że każdy z nas niewiele się kręci, więc wścibski żydek, zawsze w porę przyjedzie i potrzebnego konia dostawi. Handlarz taki, nie schodzi z bryki, ciągle w drodze, tu daje, tam bierze, zarabia parę rubli, znów dalej, mało co je, nic nie śpi, a interesy ciągle robi. Rzadko który z nich dużego majątku dorobić się może. Jest i na wozie i pod wozem, zyskuje, traci, i dalej i dalej. Ale my w rezultacie tracimy zawsze. Każdy to zrozumie, że faktor przyprowadzający mi konia, czy za gotówkę, czy na zamianę, tak swój towar przedstawi, że dobrze na handlu wychodzi. Ja naturalnie tracę. Gdzież rada, powiecie? przecież koni potrzebuję, a to co wydam jeżdżąc po jarmarkach wolę dać handlarzowi. W obecnym stanie tak jest w istocie. Ale panowie obywatele w danej okolicy, w danym powiecie—nie mogli dotąd się zdobyć na wychowywanie stadniny i na wymianę jej następnie między sobą,

Emanuel nie rozróżnił ich szczebiotu od szumu kół lokomotywy. Im bliżej Warszawy, tym większy niepokój i niecierpliwość go ogarniała. — Nareszcie zmrok zapadł — mignęły światła—stanęli na miejscu.—Emanuel przeskoczył prawie niespieszące się panie—oburzone jego niegrzecznością—i odebrawszy swoje rzeczy, dopadł dorożki każąc się wieść co koń wyskoczy na ulicę Czystą.

— Nie! to potwarz! ona tam jest—pracuje pochylona nad swoim warsztatem—moja kochanka najdroższa!.. — mówił sobie drżąc z niecierpliwości przez drogę.

Wszystko ma swój koniec—dojechali na ulicę Czystą—Emanuel zadzwonił do bramy—czekał kilka minut z bijącym sercem—i rzucił się do otwierającego Mateusza, który klasnął radośnie w dłonie:

— Biały książę!—o! mój Jezu kochany!

— A to pan nie wie?—już trzy tygodnie jak pojechała!

— Gdzież...

— A bo ja wiem? — zabrali ją *karytą*—i już! — A nam tak jak bez oczu bez naszej Pani!

Emanuel stał jak skamieniały.

— Toż się Janowa ucieszy!—gawędził dalej Mateusz.

— Gdzie Janowa?—zawołał.

— A gdzieżby—na górze.—Pan pewnie do niej pójdzie—ja rzeczy przypilnuję.

Emanuel jednym skokiem był na górze. Janowa z krzykiem objęła jego kolana.

— Beata!.. Beata!.. pytał chwytając ją za ramię.

— Masz list paniczku! Akurat tak kazała. —Jeśli nie wrócę za trzy tygodnie—poślij to Emanuelowi!

Biały książe porwał list—i nie czytał lecz pochłaniał każdy wyraz.—Twarz jego wyrażała całą gamę różnorodnych uczuć.—Janowa nań patrzyła z rozrzewnieniem.—Skończył—list ucałował—i zwracając się do Janowej—rzekł:

— Opowiedzcie resztę—jak to było?—Janowa powtórzyła mu wszystko najdokładniej—bladł i rumienił się z kolei.

— Nietylko ja cierpiałem!—szepnął do siebie.—Oh! Aniele! Beato moja...

— O tak! Nacierpiała się i napłakała biedna panienka niemało. — Oj! taki ojciec, lepiej żeby go była nieznała—mówiła Janowa.

— Gdzie ona jest teraz?

— Nie wiem, mój złoty panie!

Emanuel przypomniał sobie, że ma kartę wizytową Gucia Ruszczyc — który musiał wiedzieć wszystko. Polecił więc Janowej rzeczy swoje—i powrócił do dorożki. Mając świeżo opowiedziane zajścia w cukierni, wrzał gniewem przeciw niemu—choć Janowa powtórzyła ze wszystkiemi szczegółami scenę przebaczenia—i późniejsze wizyty.— O hrabi Władysławie myślał ze wstrętem.—I ten człowiek jest ojcem mojej Beaty!... (*d. c. n.*)

NASI POWIEŚCIOPISARZE.

V.

Eliza Orzeszko.

(*Ciąg dalszy*).

„Na dnie sumienia” jest najnowszym (1872-3) utworem p. Elizy. Daleko wcześniej, bo jeszcze przy schyłku zeszłego dziesięciolecia (1869) napisaną została powieść pod tytułem „W klatce”. Utwór ten bardzo na pozór szczęśliwą nawet głęboką ożywiony tendencyją, należy w gruncie rzeczy do niewyraźnych; główny bowiem bohater, tłumacz przewodniej myśli jest w większej części swej istoty okazem patologicznym, wyrobem ze mgły i cienia, a sytuacyje przez które się charakter jego wyświetla dziwnym odznaczają się ubóstwem. Autorka stoi tu na stanowisku czysto idealistycznym: nie odtwarza, ale wytwarza, nie rozumuje, lecz śni, nie maluje rzeczywistości, lecz halucynacyjne widma. „Daremnie, powiada ona, buntuje się przeciw losowi myśl i serce człowieka; to co nim rządzi, mówi mu: będziesz tu stał dumny Prometeuszu do skały przeznaczeń swoich przykuty,... bo włada tobą społeczne fatum, przykuwające cię do miejsca, na którym się rzucasz, jak na łożu tortur”. Po tym przestarzałym aforyzmie, streszczającym niby naczelną dewizę utworu spodziewałby się może czytelnik ujrzeć w jego ramach, jakie popiersie nowoczesnego Prometeusza, lub co najmniej zdrowego zwykłej miary człowieka, rozpierającego się czynami śród ciasnej klatki warunków?—Nie,—tego on tam nie znajdzie. Bo też i dewiza powyższa jest bardzo nieproporcyjonalną do przyjętego zadania i stanowi tylko dalekie, poetyczne uogólnienie właściwego motto. Czegoż więc tu chciała dowieść autorka? Oto, oile ze słów i napół ludzkich, napół werterowskich losów bohatera domyśleć się meo żem, pragnie ona swych czytelników przekonać, że „z miłości dla kobiet umierają ludzi- tylko wtedy, gdy w miłość tę wleją siły, których gdzieindziej zużytkować nie mogli”. Ha, teraz—powiecie—już wiadomo czego się spodziewać mamy: głównym bohaterem, ofiarnym kozłem dramatu będzie zapewne jaki student—paliwoda, więzień lub wygnaniec, słowem człowiek, który albo jeszcze nie wszedł na właściwą drogę czynnego życia, albo wyrokiem isniejących ustaw, przed czasem, żelazną dłonią przemocy poza jego tory został usunięty.—Ani jedno, ani drugie: naczelną postacią utworu jest dojrzały, wolny człowiek, młody lekarz na partykularzu. Nie wysunął się on na szerszą arenę, bo matka jego zbytnio do siedziby rodzinnej przywiązaną była; żył uczciwie, robił co mógł, a umarł na anewryzm gdy go zdradziła kobieta. Charakter ten przedstawia się pewno w oczach szerszego ogółu jako bezużyteczny, w oczach wielu jako nieprawdopodobny, a dla nas w szczególności, jako nieodpowiadający założonej myśli... Lucyjan D. jest człowiekiem wolnym, pełnym sił i zdrowia; jeśli ramy partykularza psychicznym jego nieodpowiadają prądom, jeśli go „rozpacz ogarnia, gdy to co mógłby zrobić porównywa z tym co robi”, jeśli w ciasnych zakresach „dusi się jak w klatce”—to cóż mu przeszkadza wybiedz na szersze pole, czy pragnąca jego szczęścia matka, czy własne niedołęstwo? Umiera nakoniec ten pseudo-Samson przy zdradzie Dalili, umiera bez własnej inicyjatywy, jakby nie piastował nigdy w swej piersi najmniejszych zapłodów szerszego czynu i stawszy się oddawna niewolniczym cieniem kobiecej jednostki, po raz pierwszy usłyszał starą wrotkę—„la donna è mobile (kobieta zmienną jest)”. Lecz być może iż antorka objaśniając śmierć niewinnego, powie na swe usprawiedliwienie, że on oddawna był fizycznie chorym, że lada przypadek, lada silniejsze wrażenie zgon mu przynieść mogło... Wtedy umilkniemy, tylko na miejscu bohatera, będziem widzieć... lazaretnika. Mniej może nieco mielibyśmy do nadmienienia

---

pójdzie to znów na karb tego nieszczęsnego sobkostwa o którym dawniej wspominałem. Z żydem przyjaźń—częstuje go się—pasie, gawędzi parę godzin—na sąsiada patrzy się z podełba i nie gada się z nim najczęściej. Przecież mnie się zdaje, że w tej końskiej kwestyi tak jak w innych *unitis viribus* więcejby się zrobiło. Dawnemi czasy w Osięcinach mieliśmy rządowe konie na stacyi—była to niesłychana dogodność dla okolicy, dziś to ustało? Czyżby więc było niemożliwym aby w pewnej okolicy 10—20 sąsiadów trzymało parę takich koni, dochowali się następnie źrebaków i według możności odstępowali jedni drugim, za ceny przystępne z zagwarantowaniem zdrowia i wieku. Nie bylibyśmy wtedy jak obecnie na łasce żydów. Zastrzegając sobie w każdym czasie możność powrotu do tej materyi, która w naszych stosunkach niesłychanie ważną odgrywa rolę—przechodzę wprost do „Marcowego Kawalera” komedyi p. Blizińskiego—kujawiaka, którą przed niedawnym czasem wystawiono w Warszawie i którą publiczność z takim zapałem przyjęła. Oto co mi o niej opowiadał mój sąsiad:

„Będąc na Ś-ty Jan w Warszawie, poszedłem i ja panie przez ciekawość. „Wchodzę—pięknie—poznaję humor naszego Bli„zińskiego, śmieją się, ale słucham dalej i „uszom niewierzę. P. Bakałowicz, jak mi „Bóg miły „mazurzy”. Żebym tak panie „bracie nie był się trochę reflektował tłumem „wyelegantowanych dam i mężczyzn, byłbym jej zaraz z mego 54 Nr. w krzesłach „powiedział porządny paternoster. Słycha„na to rzecz—scena w Kujawach—gospocha „starego kawalera kujawiaka, co aż oczy wy„łażą, a mazura tnie aż miło. Wiem ci, koń„czył sąsiadek, że to nie robota Blizińskiego, „tylko tych warszawianek, które tyle o nas „wiedzą co my o projektach Gambetty”.

Mój szlachciura niepotrzebnie się sierdził, ale że sztuka musiała wiele stracić na wartości, wątpliwości nie ulega. Dla samego sprostowania mylnego przekonania muszę dodać, iż w całych Kujawach, których granice dość sięgają daleko—nikt z ludu prosto nie „mazurzy”. Język tu czysty, jędrny, powiedziałbym twardy w wielu razach na masse prowincyjonalizmów—więcej jak gdziekolwiek—ma dużo niemieckich naleciałości, ale sz, ż, szcz i tym podobne zgłoski wymawia doskonale. Bliziński zanadto zna nasze strony, i lud wśród którego się wychował, aby się podobnego błędu dopuścił—wina to artystki, nic więcej, która o poprawie takiego drobiazgu pomyśleć nie może. Od teatru bardzo blisko do literatury i czytelnictwa. Nasze czytelnictwo, tak jak poczęści ma się i w Warszawie bardzo przykry przedstawia widok. Gdy moje sąsiadki zaczynają rozumować o ostatnich powieściach—uciekam do drugiego pokoju,—wolę już stokroć zwyczajną rozmowę o parafii i gospodarstwie. Dzisiejszym kobietom w ogóle wydaje się, że można nic gruntownie nie umieć, a jednak imponować światu wykształceniem. Jako środek używane są powieści i romanse, których nam takiemi masami dostarczają fabrykanci tego rodzaju niestrawnej potrawy. Czytając więc tylko powieść—trudno ją osądzić, boć kryteryjum żadnego. A niech mię Bóg skarze—czy na dwudziestu znajdziesz jednego trzeźwo pojmującego obecne położenie naszej literatury. Panowie bo sobie zupełnie nie robią subiekcyi z czytaniem (przecież jeden dowiedział się dopiero niedawno odemnie, że istnieje w Puławach Instytut Agronomiczny). O panach więc już nie mówię. Ale poczciwe kobiety co więcej garną się do drukowanego—czytają, chcą wiedzy trochę, są nawet wykształcone, ale wykształcone po swojemu, nie było bowiem

przeciwko samej Dalili dramatu, głównej bohaterce, Klotyldzie Warskiej. Jestto kobieta piękna i urocza, lecz gruntowniejszych pozbawiona zasad; przebywa ona ciągle między buduarem i kaplicą, między życiem na żart, a życiem w bajce i apoteozie: lekkomyślnością zabija kochanego przez siebie człowieka, a po jego śmierci ubiera się we włósiennicę, i buduje kościoły. Onato podobno, dzięki swemu wychowaniu więcej niż Lucyjan jest więźniem *w klatce przeznaczeń*. Szkic pobieżny jaki kreślimy, nie dozwala nam jaśniej sformułować stawianych zarzutów, które zresztą w swoim czasie recenzenci pism warszawskich drobiazgowo rozwinęli; powiemy tylko, że utwór ten zarówno z powodu chybionego zastosowania przewodniej myśli, jak powierności pojedyńczych charakterów i niezupełnej konsekwencyi dyjalogu, należy wogóle do słabszych wyrobów zasłużonego pióra.

Powiedzieliśmy już na początku naszego artykułu, że p. O. głównie świat salonowy w swych powieściowych obrazach przedstawia. Teraz wypada nam myśl tę ograniczając, dodać że wprowadza nas ona często i do małomiasteczkowych towarzystw, że nieciekawe tajemnice małomiejskiego partykularza odkrywa przed okiem czytelnika w utworach „Na dnie sumienia” „Cnotliwi”, „W klatce”, „Na prowincyi”—a chociaż światek ten, którego tłem są drobiazgowe zajęcia, sąsiedzkie wizyty a plotki, otwiera się codziennie porannym, zamyka wieczornym pacierzem, i ze swym kościelnym ogniskiem a dewocyjną barwą mało wybitnych przedstawia rysów, potrafiła wszakże autorka te rysy uchwycić i konkludującą o jeremiaszowej barwie zamknąć apostrofą. „O prowincyjo, powiada ona, plagą jesteś dla tych, którym pozazdrościsz piękności lub wyższego rozumu!” Zrobimy tu jednak uwagę, że niektóre z tego światka męskie i kobiece postaci są „W klatce” jakby żywem z „Kolokacyi” Korzeniowskiego przekopijowane (bracia Harasimowicze i panny Jęczmionkowskie), w „Cnotliwych” zaś nie dyszą naturalnym życiem i wraz z całym powieściowym gronem, noszą na sobie piętno konwencyjonalnej abstrakcyi.

Na tym kończymy przegląd, wypowiedzianych na drodze powieściowej twórczości, główniejszych myśli p. Elizy. Ominęliśmy tu wiele jej utworów, jużto dlatego, że są pod pewnym względem, jak „Na prowincyi” lub „Rozstajne drogi” prostym innych zmodyfikowaniem, jużto, że jak „Pajęczyna” są zbyt ułamkowe, jużto wreszcie jak „Zacni złodzieje” na wskroś wadliwe i zbytnim rażące sentymentalizmem. Pozostaje więc tylko słów kilka powiedzieć o artyzmie naszej powieściopisarki. *(D. n.)*

ZNAD BRZEGÓW SEKWANY.

(Ciąg dalszy).

Gałęzie tych szpalerów splecione z sobą tak gęsto, że podczas deszczu jakby pod wystawą jaką, bezpiecznie schronić się można. Pełno wszędzie pięknych pomników, wodotrysków, pełno gazonów okrytych kwiatami. Kanały szerokie łączą z sobą większe zbiorniki wody. Tu i owdzie niewielkie kaskady, tam znów baseny, okryte szerokiemi liśćmi wodnej flory. Jestto prawdziwie królewska siedziba ten Wersal. Na utrzymanie w porządku należytym zamku i parku, potrzebne są ogromne wydatki, nikt też po Ludwiku XIV-m nie umiał utrzymać takiego przepychu, jakim celował ówczesny dwór francuski.

Publiczność na *wielkie wody* zbiera się licznie, więc zastaliśmy tłumy Paryżan, jużto rozsiadłe na trawnikach, już spacerujące po cienistych alejach parku.

Amatorowie rybołówcy z wędką lub podrywką obsiedli brzegi kanałów i sadzawek. Przy każdym z nich tłum ciekawych, śledzi niecierpliwie ruch pływaka, klaszcząc radośnie w dłonie, kiedy jaka drobna rybka na wędkę się złapie.

Wojskowa muzyka wygrywa w kilku punktach parku, więc publiczność wypróżniwszy koszyki i butelki, śpieszy ochotnie posłuchać Rossiniego, Verdiego, Mayerbera, lub nareszcie Offenbacha. Młodzież gra w piłkę; podziwiałem nieraz wytrwałość zapalonych zwolenników tej zabawy. Kto nieprzyzwyczajony, z pewnością moczyłby kilka godzin ręce w zimnej wodzie, po parogodzinnym podbijaniu dłonią olbrzymiej piłki gutaperczanej. Piłka taka wypełniona powietrzem w środku, dochodzi nieraz objętości dwu średnich głów francuskich. Gracze po niejakim czasie wpadają w zapał i walą z całych sił w pękatą bombę, aż się odgłos daleko rozchodzi. Spektatorowie porwani prądem entuzyjazmu, poczynają pomagać grającym, wreszcie w jednym kole, kilkanaście piłek przelatuje w różnym kierunku ten podbije, tamten chwyta, nareszcie wszystko zruca tużurki, kamizelki, ciska na bok kapelusze i dalej w koło, krzycząc gwiżdżąc, wyskakując.

Starzy i młodzi stanęli obok siebie, żywość charakteru francuskiego zaciera różnice wieku. Ci ludzie umieją się bawić, i niewiele im potrzeba do wesołości. Lada farsa już ich zajmie i ucieszy. Tą razą zabawa szła w najlepsze, ale na nieszczęście do wielkich wód wersalskich, przyłączyły się inne wody w postaci ulewnego deszczu z grzmotami i silnym wichrem. Powstał popłoch i zamieszanie, każden krył się gdzie mógł i jak mógł, a przerażenie wyelegantowanej płci pięknej było do nieopisania. Nowa uciecha i nowe śmiechy. Szczęśliwcy posiadający parasole, gromadzili obok siebie płeć piękną, i formowały się małe grupy, ponad któremi unosił się ruchomy daszek deszczochronu. Jakiegoś wysokiego anglika, otoczyło kilkanaście mieszkanek Quartier Latin. Można sobie wyobrazić radość ryżego John Bulla, kiedy na raz jeden tyle go rogatych aniołków obsiadło. Obracały anglikiem jak piłką, a dowcipne uwagi sypały się zewsząd. Nareszcie parasol przeszedł w jakąś drobniejszą rączkę, nasz anglik znalazł się po za obrębem wesołego towarzystwa. Nie gniewał się jednak o to, ale poprawiając kukiera, gładził czerwony nos i jeszcze czerwieńsze faworyty szepcąc o yes—yes! Jednak jak tylko burza przycichła, zabierano się tłumnie do odwrotu. Ruszyliśmy razem z innemi, aby jeszcze zobaczyć po drodze dalsze sale zamku wersalskiego. Jedna okoliczność zwróciła naszę uwagę. Oto w szeregu portretów przedstawiających królów francuskich, widzieliśmy Ludwika Filipa kończącego ów szereg, reszta miejsc była pusta, a w kwadracie który z kolei zająć by winien Napoleon III, jakaś ręka nakreśliła ołówkiem jedno słówko „absent“ (nieobecny), „Badenguet le Petit“ ani „Lulu“ nie mieli popularności. Wyrażano się o nich z lekceważeniem i drwinkami. Wyszedłszy z pałacu udaliśmy się na miasto i bocznemi uliczkami przechodząc,

---

gruntownej podstawy, i dziś w najlepsze chodzimy po manowcach. To co powiedział p. Świętochowski parę miesięcy temu w swojej prelekcyi „o średnim wykształceniu kobiety“ była ostrą—przesadzoną może trochę, ale doskonałą prawdą. Kobiety więc w naszych stosunkach zajmują się prenumeratą pism, na ich to głowach spoczywa, aby mąż miał nieśmiertelną „Warszawską“ i równie starego „Korespondenta“. Gazety obie trzymały się porówno—nowy „Wiek“ dużo im prenumeratorów zabiera. Oprócz co dziennych „Tygodnika“ jest więcej jak „Kłosów“ w nabożniejszych domach: „Kronika Rodzinna“, gdzie Uniwersytet bywa częściej, „Niwa“ i „Przegląd Tygodniowy“. Jest i wasz „Opiekun“, ale ponieważ na wieś dochodzą wiadomości *bardzo późno*, zdaje się więc niejednemu, że w Opiekunie „to *dla dzieci piszą*“. Pisma warszawskie są kosztowne odnośnie do cen praktykowanych za granicą, na wsi czasem taka posucha na książki, że i dwa i trzy pisma peryjodyczne z przyjemnością przeczytasz, ale trzymasz tylko jedno do sąsiada nie poślesz, bo wywdzięczając się musiałbyś mu dać oprawiony już „Tygodnik“. Dla miłości więc oprawy więcej nie czytasz. A tak. Tu znów wypływa na wierzch to samo: nie łączymy się. Międzywsiowe, jak międzynarodowe stosunki jeszcze nie prędko się ureguluję. Trudnoż by to było, mając dużo czasu osobliwie w zimie, wspólnemi siłami zaprenumerować kilkanaście pism, oznaczyć stale czas do przeczytania, utworzyć małe wkłady, skupować biblijoteczkę wspólną, przez kogoś ze znających się na tym dobrze wybieraną. Z czasem utworzyłby się zapasik—prezerwatywa na ziewanie i leżenie z oczyma utkwionemi w suficie. Gdyby tylko? Jak już powiedziałem czyta się nie wiele, a jeszcze przeczytane nie zawsze w zdrową krew się obróci. Każdy po swojemu przekręci, a nic łatwiejszego jak książkę przekręcić sobie. Młodym paniekom mieszkającym na wsi, nie widującym ludzi, czytającym tylko Bluszcz ze swoją *sui generis* emancypacyją, łatwo bardzo świat innym jak rzeczywiście wydać się może. Gdybym w moim życiu na każdym kroku nie spotykał tego, zamilczałbym, ale piękne panie pogniewają się na mnie. Takie np. szlachetne przedsięwzięcie jak zbieranie się 12 panien płacących składkę i mających wyborowe książki upadło jak kamień w wodę. Dziwi mię to bardzo, bo osoba stojąca na czele tego literackiego zebrania (panna P. z Warszawy) miała szczere chęci poruszyć zarosłe chwastem pole. Zdaje mi się, że upadek spowodował nadchodzący karnawał, czytać się odechciało. To wszystko nic w porównaniu z wiadomościami jakiemi rozporządza męska połowa. Mógłby mię kto posądzić o złośliwość, ale szczerze powiadam, że zupełnie nasza młodzież nie czuje, jak przez brak wykształcenia traci wiele. Powiem więcej, cieszą się z tego i uważają to za rodzaj odróżnienia się od „pismaków“. W dzisiejszym czasie, gdy w 2-ej klasie, dzieci piszą już ortograficznie, młodemu panu, nic a nic nie szkodzi wyrżnąć list pełen ortograficznych błędów. Wierzcie mi szczerze, to fakta.— Wprawdzie interes pozostanie interesem, przecież są tu i tacy, co pisać nie umieją, a porobili majątki, ale jednak, gdybyśmy mieli to poczucie, iż tylko wykształcenie odróżnia ludzi, możebyśmy się więcej garnęli do gramatyki. Tymczasem już nie do specyjalnej nauki, ale przynajmniej do ogólnego wykształcenia żaden z młodych ludzi u nas mieszkających się nie garnie. Wziąć tylko taki mały przykład. Jesteśmy niby specyjalistami w rolnictwie, kto jednak z nas zajmuje się tą gałęzią produkcyi ze stanowiska nauki teoryi? kto popycha wiedzę w tym kierunku? Rzadkie i niedołężne korespondencyje do pism specyjalnych, są echami tego co znamy i umiemy. A nie można powiedzieć,

rozpatrywaliśmy ciekawie grupy żołnierzy różnej broni, palących krótkie fajeczki i rozprawiających żywo między sobą.

Dla czego ci ludzie tak dzielnie na pozór wyglądający dali się pobijać tak sromotnie? Ha podobnoć nie mieli co jeść, dawano im naboje z kulami większego lub mniejszego kalibru niż lufu karabina i trzewiki o papierowych podeszwach. Tak się przynajmniej tłumaczyli ci z któremi mieliśmy sposobność rozmawiać.

Gdyby było dwu, nareszcie trzech na jednego, no to jeszcze pół biedy, ale sześciu lub dziesięciu, jakże się było nie cofać! Prowadzili nas jak bydło na rzeź dodawali z westchnieniem, ale jeszcze, klamka nie nazawsze zapadła. Bądźcobądź w żołnierzach rozwinęła się niechęć i niewiara do wodzów, jeden tylko Mac Mahon i Chanzy cieszyli się popularnością i uznaniem. (*D. n.*)

Korespondencyja Opiekuna Domowego.

Z Kielc, w sierpniu 1873 roku.

W ciągu ostatnich kilku tygodni dotknęły nas dwie straszne klęski;—zaledwie ochłonęliśmy z pierwszego wrażenia po strasznym pożarze, jaki nawiedził nasze miasto w dniu 8 lipca r. b., aliści niezadługo pojawiła się cholera i pomimo użycia wszelkich środków w celu powstrzymania, szerzy się ona wyrywając liczne ofiary z klasy przeważnie ubogiej.

Rzecz dziwna — miasto Kielce położone wśród gór i lasów, dotychczas bardzo mało wystawione na działalność i szkodliwość cholery w r. b. ulega tej dotkliwej klęsce, która w kraju naszym od lat kilku na dobre się rozgnieździła.

Oile jednak cholerę przyjmujemy jako zło, któremu z trudnością rozum ludzki przeciwdziałać może, to wielkie pożary w XIX wieku,—w wieku oświaty i postępu, uważamy za wynik zaniedbania się i dziwnej obojętności nawet na swój własny interes. Od roku przeszło organizuje się w Kielcach „Straż ogniowa": organizuje się, lecz cóż z tego! Na członków stowarzyszenia zapisywali się przeważnie urzędnicy,—za to ogół mieszkańców, właściciele nieruchomości, stali długo na uboczu niechętnie spoglądając na jakąś inowacyją, na zmianę dawnego porządku rzeczy. — Pożar tedy ostatni zastał nasze miasto zupełnie nieprzygotowane i rzucone na pastwę rozszalałego żywiołu.

Kielce, jak wiele innych dawniejszych grodów, są bardzo źle zabudowane, domy jednopiętrowe, a po większej części parterowe gontem kryte — stoją w wąskich i zacieśnionych ulicach; tak, że ogień nietylko z wielką łatwością mógł się przenosić z ulicy na ulicę, ale i wszelką obronę niemożliwą czynił.

Pożar, jak to już wiadomo skądinąd, wziął początek z mydlarni Kryszkiewicza, położonej na samym końcu miasta; pędzony wiatrem przeszedł jakby anioł zniszczenia szerokim pasmem przez część miasta i dosięgnął aż do jego środka: dopiero na ratuszu, budynku ogromnym blachą krytym, stanowiącym prawie jeden bok kwadratu, jaki tworzy rynek tutejszy, zatrzymał się parę godzin nim zdołał z nową siłą wybuchnąć.

Parę godzin czasu wystarczyło do rozebrania dachów sąsiednich domów i tym sposobem pożar dalej rozszerzyć się nie mógł.

Stary system budowania drewnianych i zacieśnionych miasteczek—był niezawodnie w tym razie jak i w wielu innych główną przyczyną tak strasznej klęski; stawianie natomiast domów murowanych blachą krytych, okazało się być środkiem wielce zabezpieczającym od ognia, tak np. dom samego właściciela mydlarni Krzyszkiewicza, murowany i blachą kryty, przy małym ratunku, ocalał, wśród tego gdy innych kilkanaście naokoło niego zgorzało. Miejscowa też władza przy odbudowywaniu się miasta, przedsięwzięła stosowne środki, w celu rozszerzenia ścieśnionych ulic i wydała zarazem rozporządzenie, aby wszystkie dachy nowo wznoszone, kryte były blachą.

Oby tylko postanowienia te ściśle wykonywane zostały. Oby nauczka ta, nie poszła, jak to mówią w las, dla mieszkańców tutejszych!...

Pożar, cholera, kilka wypadków gwałtowniejszej śmierci ludzi wybitniejszych —pomieszanie zmysłów, jakiemu uległ przed kilkunastu dniami powszechnie szanowany sędzia z sąsiedniego miasta Ch...., oto fakty, które wyrwały mieszkańców tutejszych z sennego letargu i dostarczyły materyjału na pewien czas do zbierania i rozsiewania różnorodnych nowinek.

Powoli jednak tutejsze życie zaczyna powracać do dawniejszego trybu. Co do urzędników, jakiś tylko wypadek ważniejszy—teatr amatorski — fantowa loteryja i t. p., łączy je mechanicznie z sobą — ale to tylko na chwilę; — reszta mieszkańców, oprócz kilkunastu wyjątków postawioną jest zewnątrz wszelkiego ruchu umysłowego w naszym mieście i o niego w zupełności się nie troszczy.

Przed niedawnym czasem młodzi prawnicy urządzili tu kilka odczytów na korzyść Towarzystwa osad rolnych; ale któż poszedł na nie? Może myślicie, że sala tłumnie napełnioną została żądnemi wiedzy—gdzie tam! zaledwie kilkanaście rodzin, i to bliższych znajomych prelegantà zgromadziło się na każdy odczyt.

Jak w tym, tak w innych kierunkach życia, wszystko pogrążone w apatyi; ludzie nawet intelligencyi, od których mamy prawo wymagać wiele, zajęci są tylko sprawami osobistemi, wygódkami życia; gdzież im myśleć o dobru ogólnym.

Z przyjemnością dowiadujemy się o powstałem stowarzyszeniu lekarzy w Radomiu i ich działalności, ale za to z prawdziwym bólem zaznaczyć musimy, że tak dobry przykład dany przez sąsiednie miasto, nie znajduje w Kielcach naśladowców, a przecież nie brak u nas zdolnych lekarzy, którzyby i tu potrafili dużo dobrego zrobić. Czyżby np. nie można było zawiązać stowarzyszenia z prowincyjonalnemi lekarzami w celu wspólnej pracy — komunikowania sobie spostrzeżeń z praktyki i t. p. Czyżby nie można urządzić od czasu do czasu kilku odczytów w kwestyjach medycyny, obchodzących ogół; interesem przecież waszym panowie winno być szerzenie światła choćby dla zniweczenia szkodliwości praktyk lekarskich, podejmowanych przez felczerów, owczarzy i wiejskie babki.

Kończąc tę moję korespondencyją, zmuszony jestem potrącić jeszcze o jednę kwestyją dość ważnej natury.

Chcę tu mówić o namiętnej grze w karty. Przed niedawnym czasem w łamach „Wieku" spotkaliśmy dość obszerne sprawozdanie z Kielc, które poruszyło wiele kwestyj miejscowych, ale najważniejsze minęło.

Sprawozdawca nie bez pewnej słuszności rzucił kamieniem potępienia na kobiety za zbytek i przesadę w strojach, z jakiemi wystąpiły na fantowej loteryi w miejscowym ogrodzie, ale czyż raczył zwrócić uwagę na drugą połowę rodu ludzkiego? Czymże ta

---

aby przynajmniej choć praktycznie znających przedmiot między nami nie było. Tylko nieszczęsne lenistwo i brak poczucia ogólnego życia stoi nam na przeszkodzie. Wieluż moich znajomych mogłoby się z drugiemi podzielić swemi wiadomościami, a jednak tego nie czyni. Artykuły rolnicze piszą się w Warszawie przy biórku i dobrym cygarze, mniej więcej a priori. Jest to trochę podobne do tych korespondencyj pisanych z Paryża lub Rzymu w Warszawie. Nasza w tym wina. My jako specyjaliści od innych specyjalistów różnimy się tym, że bardzo mało staramy się iść za ogólnym prądem postępu, zabierającym wszystkich po drodze. Najzawziętszy urzędnik lub doktór, ma swoję chwilę, gdzie przestaje być urzędnikiem lub doktorem i żyje życiem *ogólnym*. Zajmują go sprawy bieżące—kształci się. Obywatel nasz jest w stanie całe życie być wieśniakiem. Mówiłem np. z kilkoma w kwestyi Banku Rolniczego podnoszonej w waszym piśmie. Ten i ów pokiwał głową „nie uda się". Nigdy może tak jak w tym czasie kredyt dla każdego z nas nie byłby lepszą deską zbawienia. Koło S-go Jana wypadają największe wypłaty—pieniędzy niema. Jeżeli żyd daje na zboże, to dając naprzód rachuje procent i taniej przez to kupuje. Mówiono mi, że filija Banku Handlowego w Włocławku udziela podobno pożyczki z umiarkowanym procentem na mające się dostawić zboże. Wiem jednak, że komuś żądającemu kazano czekać parę tygodni. A tu żniwa w całej sile—a tu płać i płać, ciągle mając dopiero nadzieję przyszłych owoców, z których korzystać będziesz dopiero we Wrześniu.

Ar. Za.

* * *

Pan Adam Niemirowski, który przysłużył się już literaturze prawniczej dziełem p. t. *Pogląd dziejowy i zasadniczy na stanowisko* obrońcy (1869), ogłosił obecnie krótką rozprawkę: *O aktach urzędowych i z podpisem prywatnym.* Pożyteczna ta książka odznacza się zwięzłym a jasnym traktowaniem przedmiotu, nad którym autor widocznie panuje. Zaletą wywodów pana Niemirowskiego jest ciągłe porównywanie rozmaitych prawodawstw, co pracy jego nadaje cechę prawdziwie naukową.

* *

W numerze 39 *Niwy* artykuł wstępny poświęcony jest kilku uwagom *o stowarzyszeniach*. Autor dochodzi do przekonania, że trzeba z jednej strony rozwijać o ile możności stowarzyszenia dotychczasowe, z drugiej zaś pomyśleć o stowarzyszeniach wytwórczych, które najpotężniej się przyczyniają do podniesienia dobrobytu klas pracujących. Rozwinięcie tego przedmiotu przyrzeka *Niwa* w artykułach następnych.

* * *

Zapowiedziany przez pp. Feliksa Fryze i Ignacego Chodorowicza „Przewodnik po Warszawie i jej okolicach", na r. 1873/4 wyszedł w tych czasach na widok publiczny. O tym pożytecznym wydawnictwie podamy czytelnikom naszym bliższą wiadomość w przyszłym numerze Opiekuna.

* *

P. Józef *Kaufman* wydawca dzieła: *„Wystawa Wiedeńska illustrowana"* powiadomił nas, że pierwszy poszyt tego wydawnictwa w tym tygodniu prenumeratorom rozesłanym zostanie. Opóźnienie nastąpiło jedynie z powodu pęknięcia na prasie kliszy przedstawiającej „Wnętrze pałacu Wystawy".

zajęta? Nie modą wprawdzie; lecz wistem, sztosikiem i nową jakąś grą hazardowną, specyjalnie i z prawdziwym amatorstwem uprawianą w Kielcach.

Wy mężczyźni! co wyrzucacie powszechnie kobietom ich zamiłowanie do zbytku w ubiorze, jakiż przykład dajecie swym żonym i córkom? czyście usiłowali w nich obudzić jakąś myśl poważniejszą? Czy staracie się odwrócić ich uwagę od szmatek i gałganków? Gdzie tam, zgrywacie się w karty po całych nocach u dobrych swych znajomych, tracicie pieniądze, czas, zdrowie, godność swą—a córki wasze i żony, stroją się i zbytkują, boście wy sami tego je nauczyli.—Oj panowie, czas zastanowić się i opamiętać!...



Artur Mangin. Człowiek i zwierzę, przekład *W. Niewiadomskiego.* Warszawa, 1873, nakł. redakcyi „Przeglądu Tygodniowego".

Sprawa zwierzęcia „młodszego brata naszego" znajduje w p. Mangin gorliwego obrońcę. Dotknąwszy zlekka na początku książki pytania—co jest człowiek a co zwierzę, autor przechodzi do opisu kilkunastu gatunków zwierząt domowych, opisu ubarwionego mnóstwem ciekawych i dobrze wybranych anegdotek, rozbiera kwestyję udomowienia pewnych zwierząt dotychczas niepodległych jeszcze człowiekowi i bardzo słusznie, o ile mi się zdaje, dowodzi, że przyswojenie słoni, lwów, małp i t. p. istot nie przedstawiałoby żadnych korzyści, przynajmniej dla mieszkańców Europy.

Najbardziej zajmującą i najobszerniejszą częścią dziełka, są dzieje stosunków między człowiekiem a zwierzęciem, spisane w dwu rozdziałach p. t. „Kościół i Trybunał" i „Człowiek bawi się". Pod pierwszym z wymienionych nagłówków, znajdujemy historyją czci religijnej zwierząt, tak niezmiernie rozpowszechnionej we wszystkich częściach ziemi w dawniejszych i obecnych czasach, a także opisanie zdarzeń, w których paragrafy kodeksów obowiązujących społeczeństwa ludzkie dawniejszej Europy, a szczególniej Francyi, stosowane były do przestępców-zwierząt w całej rozciągłości i surowości swojej. Wiadomo, że wyjaśnienie powodów, które skłoniły praojców naszych do uznania zwierząt za wyższe i opiekuńcze istoty, stanowiły zawsze niemały szkopuł dla historyków cywilizacyi; żałować i dziwić się należy, że p. Mangin przytaczając rozmaite w tej mierze zdania i poglądy, przepomniał całkowicie o zapatrywaniu się na cześć zwierząt J. Lubbocka (*Początki cywilizacyi...*), które przecież najłatwiej do przekonania naturalisty trafić by powinno.

Resztę książki zajmuje opis straszliwych okrucieństw, jakich dopuszczał się człowiek, przelewając rzeki krwi niewinnej, jedynie gwoli zadosyćuczynienia barbarzyńskim swoim upodobaniom.

Całe dziełko napisane w sposób iście francuzki, lekki i dowcipny, ma także i zwykłe francuzkich książek przywary: dotyka mnóstwa przedmiotów, a niewyczerpuje żadnego i odznacza się brakiem jednostajności sądu. Tak np. człowiek z początku jest dla autora celem wzgardy i gorzkiego szyderstwa, później jednakże godzi się z nim zupełnie i nie waha się nawet pewnych osobistości nazywać swemi przyjaciołmi. Gorąca jednak miłość autora dla przyrody, treść obfita i zajmująca, nakoniec wcale niezły przekład polski, sprawiają, że książkę o której mowa śmiało polecić można młodym czytelnikom naszym, na umyśle których oprócz chwilowego zajęcia, głębsze zapewne ślady wywrzeć potrafi.

B. Z.

ROZMAITOŚCI.

W *Krakowie* wyszedł „Wykład zasad ekonomii społecznej" (przez Stanisława Zorańskiego)—w *Lipsku*: powieść Michała Czajkowskiego „Nemołaka", w *Warszawie*: „O trzech sferach życia ludzkiego. Ustęp z antropologii przez D-ra T. Żulińskiego.—„Praktyka życia handldwego" podług Freedley'a spolszczył St. Statkowski kop. 80. „Pogadanki z ekonomii społecznej" przełożył Feliks Mierzejewski kop. 10—Drapera „Dzieje rozwoju umysłowego Europy" w przekładzie Tad. Korzona, zeszyt ostatni.—Biblijoteki Filozofii Pozytywnej zeszyt VII zawierający d. c. dzieła (II zeszyt) Taine'a O intelligencyi w prz. St. Tomaszewskiego (6 zeszytów Rs. 1 k. 50) —Macaulay'a. Dziejów Anglii 3 pierwsze tomy po kop. 70 „Oskierowaniu żydów ku pracy w rolnictwie", przez Jana Jeleńskiego kop. 15.— *We Lwowie* D-ra Leona Bilińskiego „Wykład ekonomii społecznej" Tom I Rs. 2 kop. 50.—W Paryżu wydał p. A. Wiszniewski dzieło w języku francuskim p. t. „La metode historique appliquée à la reforme des banques et des crédits mobiliers—p. W. jest synem ś. p. Michała Wiszniewskiego autora Historyi Literatury Polskiej. W *Poznaniu*: „Filozofija Jana Sniadeckiego" przez Aleksandra Skorskiego i Jana ze Sliwina. Zarysy społecznej literatury rossyjskiej, obie te książki stanowią odbitkę z Tygodnika Wielkopolskiego.

* * *

Kwestyja rozwoju wykształcenia rzemieślniczego między włościanami Królestwa Polskiego, ma być obecnie przedmiotem obrad w wyższych sferach rządowych.

* * *

W Lipsku niedawno otrzymała patent Doktora Medycyny z odznaczeniem p. *Ewreimow*, z dwu zaś obecnie jeszcze studyjujących rossyjanek, jedna poświęca się prawu (p. *Korganow*) druga filologii.— Filozofiją studyjuje p. *Zuzanna Rubinstein* z Czerniowic (na Bukowinie) autorka kilku odczytów, które miała w r. z. w Pradze czeskiej w języku niemieckim. — Uniwersytet lipski używa obecnie pierwszorzędnej sławy i jest najliczniej uczęszczany, ze wszystkich niemieckich. W letnim półroczu liczył niespełna 3000 studentów.

* * *

„Fragmenta o Filipie z Konopi", jeden z najcelniejszych utworów epickich Ludwika Kondratowicza (Syrokomli) zamieszczony w kompletnym wydaniu dzieł jego w tomie II, przełożono na język rossyjski i ogłoszono w tomie lipcowym *Wiestnika Ewropy.*

* * *

Córka znanego amerykańskiego powieściopisarza Coopera, panna Zuzanna Fenimore Cooper, napisała o plemieniu Inkerów, które tak głośnym uczyniły romanse jej ojca, dwa dzieła historyczne, które około Listopada r. b. mają się z druku ukazać.

* * *

Budowa teatru polskiego w Poznaniu, jak się dowiadujemy, znacznie postąpiła, mianowicie cały tunel i suteryny wykończone, mury parterowe wczęści już stoją, a w przeciągu kilku tygodni będą i te całkiem gotowe poczym rozpoczną się prace ciesielskie i stolarskie, jednocześnie też urządzenie wjazdu na plac teatralny. Z początkiem roku przyszłego cały gmach podobno będzie ukończony. Akcyjonaryusze, dla nietamowania szybkiego w pracach postępu, zechcą wcześnie uiszczać się z rat zalegających. Obecnie jest w kasie 20 tysięcy talarów, ale sumę tę rychło pochłonie szybki postęp budowy.

* * *

Donoszą z St. Francisco o nadzwyczaj sympatycznym i zaszczytnym przyjęciu, jakiego w mieście tym doznaje znany nasz skrzypek p. Henryk Wieniawski. Za przybyciem jego, ulica na której stanął zapełniła się tłumami publiczności, a orkiestra teatralna odegrała mu przed oknami serenadę; potym nastąpiły nieskończone na cześć jego okrzyki, tak, że musiał się ukazać i opowiedzieć kilka słów podziękowania. Nie pamiętają tam, żeby ktokolwiek z artystów przyjmowany był z takim entuzyjazmem i żeby sale na jego koncertach tak były przepełnione. Wyszła też oryginalna w swoim rodzaju broszurka drukowana w S. Francisco poangielsku, niby studyjum krytyczne o p. Wieniawskim. Broszurka ta podzielona jest na ośm ustępów, z których każdy ma osobny tytuł. W jednym z nich autor zastanawia się nad osobistemi przymiotami artysty, dalej nad jego techniką, nad jego stylem, nad mistrzowskiem pojmowaniem sztuki, nad tonem, uważa go ze względu na jego kompozycyje, a nawet ze względu na stanowisko społeczne.

* * *

Dr. J. *Baraniecki* został mianowany profesorem botaniki w uniwersytecie Kijowskim.

Дозволено Цензурою. — W drukarni Jana Jaworskiego. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor i Wydawca HENRYK PERZYŃSKI.